

## RAJD ROWEROWY Z LICHENIA DO CZĘSTOCHOWY \* 29 MAJA - 2 CZERWCA 2013

Relację z Rajdu z Lichenia do Częstochowy rozpoczynamy oczywiście od Lichenia. Przyjechaliśmy do bazyliki w Licheniu w środę przed Bożym Ciałem na mszę odprawianą również w naszej intencji przez księdza Roberta z Parafii św. Wojciecha w Morzysławiu. Gdy wjeżdżaliśmy do Lichenia świeciło słońce, Po chwili padał deszcz i była burza. Taka pogoda również była w czasie całej wyprawy. Po mszy w bazylice przyszedł do nas ksiądz Robert z najlepszymi życzeniami i błogosławieństwem na drogę. Następnie dzięki Władysławowi i oraz Wojewódzkiemu Ośrodkowi Ruchu Drogowego w Koninie wszyscy uczestnicy mszy otrzymali prezenty w postaci kamizelek i nie tylko.



Następnego dnia o godz. 7.00 spotkaliśmy się przy koniu razem z uczestnikami Rajdu rowerem po Dywanie. Razem ruszyliśmy do Spicymierza, który był również naszym pierwszym celem do osiągnięcia.

Po wykonaniu pamiątkowych zdjęć ruszyliśmy na rowerowy szlak w liczbie 22 osób. Z tej liczby dziewięciu wspinających to ci, którzy jechali do Częstochowy oraz 13 osób głównie z Goliny, którzy pod przewodnictwem komandora Piotra Pęcherskiego jechali z nami do Spicymierza i tego samego dnia wracali do Konina.



Fotoreporterzy zrobili nam niespodziane zdjęcia całej grupy z wiaduktu.



Pierwszy postój - dla niektórych za szybko - był przy kapliczce w Kragoli.



Następny postój wypadł w Tuliszkowie, bo jakieś okulary trzeba było odnaleźć i zrobić dodatkowe 10 km. I tu po raz pierwszy zatrzaszyliśmy się, gdzie jest nasz gość z Warszawy czyli Jurek.

Pierwszy dłuższy postój z opowiadaniem o mieście, kościele i dziele twórcy z Krakowa miał miejsce przy ławeczce Mehoffera przed kościołem NSPJ w Turku. Po gruntownym omówieniu i posileniu gorzką czekoladą, ruszyliśmy dalej w kierunku Uniejowa.



Po chwili był postój przy elektrowni Adamów. Następnie wykorzystując najdłuższą ścieżkę rowerową na całym szlaku dojechaliśmy do Zieleni przed Uniejowem. Tam zatrzymaliśmy się w barze, gdzie posililiśmy się na dalszą drogę do Spicymierza do którego było już bardzo niedaleko.



Spicymierz ma bardzo bogatą historię, ale w chwili obecnej największą atrakcją tej wioski są układane od 200 lat dywany kwiatowe na trasie procesji Bożego Ciała. Myślę, że wielokilometrowe dywany zrobiły na wszystkich bardzo duże wrażenie.



Zdążyliśmy dojechać i zrobić sporo zdjęć w promieniach jeszcze słońca zanim rozpoczęła się następna już dla nas burza w czasie naszej wyprawy.



Po podzieleniu grup i pożegnaniu grupy spicymierskiej ruszyliśmy w dalszą drogę na tamę zbiornika w Jeziorsku, oczywiście w strugach deszczu.



Nie wiedzieć dlaczego na tamie, gdy ruszyliśmy w dalszą drogę bez ostatnich spicymierskich gości - czyli Asi i Pawła - przestało padać.



W tej chwili pozostało już tylko dziewięciu wspinających, którzy cichą drogą po płytach pojechali wzdłuż zbiornika Jeziorsko w kierunku Sieradza. Co jakiś czas padało pytanie, gdzie jest Jurek i Jurek za chwilę dojeżdżał. Dlatego przeniósł się na początek grupy.



Po drodze wypiliśmy jeszcze pyszną kawę (z każdym kilometrem drogi kawa smakowała jakoś lepiej) w sympatycznym zajęździe nad zbiornikiem i już około godziny 18 i po ponad 120 km w nogach zameldowaliśmy się na pierwszym noclegu pod Sieradzem.



W czasie, gdy jedliśmy kolację znów zaczęło padać, tym razem nam się udało.



Jeszcze narada przed dalszą drogą oczywiście z tabliczką gorzkiej czekolady i spanie do godz. 7.00.

Następnego dnia w piątek okazało się, że tak wczesna godzina pobudki nie była dla nikogo problemem, gdyż wszyscy na śniadaniu byli przed 7.00.

Jeszcze bagaże na rowery, pamiątkowe zdjęcia i możemy krzyknąć na koń i w dalszą drogę, o mało bym zapomniał oczywiście z kolegą deszczem.

Pierwszy smaczny, bo drożdżówkowy postój w Widawie. Następnie Szczerców. Po wyjeździe z miasta krajobraz jakby bardzo znajomy, po prawej stronie drogi ogromna hałda kopalni odkrywkowej, a po lewej odkrywka Kopalni Węgla Brunatnego w Bełchatowie, a za odkrywką kominy elektrowni, wypisz wymaluj bardzo podobne do krajobrazu przemysłowego na północ od Konina. Następny smaczny postój to Strzelce Wielkie. Smaczny bo czekała tu na nas zupka, to się posililiśmy i w dalszą drogę, stąd do Częstochowy było już naprawdę niedaleko. Jak zobaczyliśmy tablicę Częstochowa, wszyscy samoczynnie zatrzymaliśmy się, aby udokumentować zdjęciem przybycie do celu naszej podróży.



Jeszcze wyczerpujący podjazd pod klasztor i jesteśmy przed bramą klasztorną.



Teraz każdy miał czas wolny dla siebie i wykorzystał go według własnego uznania.



Po zakończeniu mszy w kaplicy Matki Boskiej zbiórka na parking i droga na nocleg do Olsztyna, tak tak Olsztyna, ale k/Częstochowy.

Według mieszkańców Olsztyna droga miała liczyć 10 km, ale wyszło jakoś więcej. Do tego droga stała się bardzo pagórkowata i pytania, gdzie jest Jurek padały coraz częściej. Już ok. 19 tej po ponad 120 km byliśmy na miejscu noclegu w agroturystyce pod samym zamkiem. Tego dnia byliśmy cokolwiek bardziej głodni, ale kolacja była jeszcze lepsza od poprzedniej, także najedzeni do syta mogliśmy rozłokować się w pokojach i przygotowywać się do snu, bo w końcu następnego ranka śniadanie o 7<sup>00</sup> ale do tego już się przyzwyczailiśmy.



Następnego dnia w sobotę równie pyszne śniadanko i na piechotkę zwiedzanie zamku, ścieżką prosto z naszego domu prowadzącą prawie wbiegliśmy w kilka minut w ruiny zamku w Olsztynie, który jest najdalej wysuniętym na północ zamkiem na Szlaku Orlich Gniazd. W kilkadziesiąt minut piękne widoki, piękne zdjęcia, (choć trudno w to uwierzyć wcale nie padało, a poranne słońce pozwoliło na wykonanie pięknych ujęć) zamku i olsztyńskiego rynku.



Powrót do Częstochowy inną drogą (prostsza i krótsza) i cały czas nie padało. Dojechaliśmy do alei, a tu targi samochodowe, gdzie wystawiły się wszystkie firmy samochodowe, całą drogę do klasztoru mogliśmy podziwiać piękne samochody i nie tylko .....



Ale, aby nie było zbyt pięknie, tu zaczęło się coś tego dnia psuć, pierwsza guma, ale co to na nas raz dwa i jedziemy dalej. Dojechaliśmy jeszcze do cudownego źródła św. Barbary nabraliśmy wody, i od tego momentu słowo woda w najróżniejszej postaci towarzyszyło nam już do końca dnia.



Wyjechaliśmy z Częstochowy już w strugach deszczu. Po kilkunastu kilometrach druga guma w tym samym rowerze Władka, tym razem w drugim kole. Zmiana koła w deszczu nie należy do miłych, ale i tym razem daliśmy radę. Po dojechaniu do grupy miła niespodzianka, bo koleddy zorganizowali dla nas strefę bufetową jak dla zawodowców jadących w wyścigu, a nie w rajdzie i chyba dlatego jakby deszcz na chwilę zaczął mniej padać.



No to po drożdżóweczce i dalej w drogę. Przecież za parę kilometrów czeka smaczna ciepła zupa i wtedy stała się rzecz, która żadnemu z nas nigdy wcześniej się nie przydarzyła. W rowerze Marka z wielkim hukiem i jak twierdzą jadący obok przy towarzyszących efektach pirotechnicznych



wystrzeliła dętka i opona. I wtedy zrobiło się groźnie, gdyż na tyle nieszczęść nie byliśmy przygotowani. Ale dzięki niezwyklej życzliwości miejscowych ludzi udało się nam nie tylko naprawić, ale i tuningować rower Marka, który od tej pory szedł, a na nim Marek jak burza. Niestety postój na zupce bardzo się nam wydłużył tak że zdążyliśmy tam zjeść cały obiad, zanim ruszyliśmy w dalszą drogę. Ale nikt się nie poddawał i jechać trzeba było. Od tego momentu Jurek jechał na czele i prowadził, a my równym tempem jechaliśmy za nim.



Gdy dojechaliśmy do Łasku naprawdę mieliśmy dość deszczu i wtedy ..... przestało padać. I wówczas pilot wymyślił drogę z nawrotami i, aby tradycji stało się zadość, dojechaliśmy jeszcze później bo ok. 19.30 i po przejechaniu ponad 120 km stawiliśmy się na nocleg. Na szczęście kolacja sprawiła, że nasze humory znacznie się poprawiły.



Przez co mogliśmy dłużej i przyjemniej przy niej posiedzieć i porozmawiać, co zdecydowanie poprawiło nam humory po najgorszym dniu naszej wyprawy. Jeszcze suszenie strojów (na specjalnie włączonych dla nas grzejnikach, w czerwcu !!!) tych, które były na nas i tych w sakwach i można było iść spać.



Następnego dnia w niedzielę rano, śniadanie oczywiście o 7.00 równie pyszne jak kolacja. W Łasku naprawdę było bardzo smacznie !!! Niestety nasze rowery wymagały szybkiej konserwacji, gdyż jazda we wszystkich rodzajach deszczu poprzedniego dnia dała się wszystkim mocno we znaki.



Po szybkim serwisowaniu rowerów wielka niespodzianka - w promieniach słońca ruszamy w drogę do domu. Pierwszy postój na rynku w Szadku, gdzie podano pyszne drożdżówki i znów mogliśmy jechać dalej. Tego dnia wszyscy przecierali oczy bo naszego Jurka nie można było dogonić. Mało, że prowadził, to jeszcze uciekał całej grupie. Jaki progres, brawo Jurek !!! Kilometry mijały niezwykle szybko, i zanim się obejrzelśmy byliśmy już w Uniejowie.



Tu główną atrakcją miał być pobyt na Termach, żeby się wymoczyć po trudach jazdy, ale tak się wymoczyliśmy poprzedniego dnia w deszczu, że ochota na kąpiel w ciepłych wodach jakoś nam przeszła. Zobaczyliśmy więc Termy z zewnątrz, tężnie przed wejściem do nich,



Zamek Uniejowski a jakże z zewnątrz,



kasztel także w takim stylu podobnie jak gospodę z młynem, wioskę indiańską nowo

powstały hotel Spa, nowe targowisko miejskie i już byliśmy na zupce w tym samym barze co przed Spycimierzem.



Dalsza droga do domu była czystą bardzo szybką przyjemnością. Okazało się, że w tym rajdzie uczestniczyli twardzi cykliści, których forma rosła przez cały czas aż do końca w tym samym miejscu, gdzie się rozpoczęła czyli przy Koniu.



Ostatniego dnia zrobiliśmy najmniej, bo niewiele ponad 110 km, ale ogólnie zrobiliśmy troszkę ponad 500 km.

W czasie tej wyprawy nauczyłem się kilku rzeczy:

- 1 Gorzka czekolada jest dobra na wszystko!!!
- 2 W czasie deszczu, który pada cały dzień, dobrze jest mieć naprawdę nieprzemakalną kurtkę i zabezpieczone sakwy przed deszczem.
- 3 Każdą drogę i wszelkie przeciwności można pokonać jadąc w tak doborowym towarzystwie:☺

Komandor  
Dariusz Wąchnicki